



HANS CHRISTIAN ANDERSEN

Coś

HANS CHRISTIAN ANDERSEN

Coś

TŁUM. CECYLIA NIEWIADOMSKA

Nie mam wielkich pretensji — rzekł najstarszy z pięciu braci — chcę być człowiekiem pożytecznym, chcę być *czymś*. Najskromniejsza nawet praca zasługuje na szacunek, bo coś ludziom przynosi. Ot, na przykład, zajmę się wyrobem cegły, prosta to rzecz, a potrzebna. I już nie będę niczym: choć cegiełki zostaną po mnie na świadectwo, że czasu nie marnowałem.

— To mi zajęcie! — zaśmiał się brat drugi. — Trudno naprawdę znaleźć coś prostszego — zwyczajna praca wyrobnika, którą maszyna równie dobrze spełniać może. Co do mnie, inaczej myślę; chcę być *czymś* rzeczywiście i dlatego obieram rzemiosło murarza. To już zapewne coś innego: na takim stanowisku nie zastąpi mnie martwe narzędzie. I przyszłość także piękna, bo na nią zasłużę, wznosząc ludziom trwałe i wygodne domy; zostaną z czasem obywatelami miasta, może jakim starszym w radzie albo w cechu, będę miał własną czeladź, dom, każdy się do mnie odezwie z szacunkiem: — panie majstrze! To coś znaczy. Człowiek czuje, że jest przecie *czymś* na świecie.

Trzeci brat lekceważąco wzruszył ramionami.

— I ty niewiele żądasz, mój kochany — rzekł z uśmiechem. — Cóż to jest murarz? Prosty rzemieślnik, nic więcej. Iluż to ludzi w mieście patrzeć będzie na ciebie z góry i uważać cię za coś niższego? Za nic prawie, ot za jakąś tam mrówkę z mrowiska. Ja mam większe pragnienia, chcę czegoś lepszego, chcę się wznieść wyżej, zostać *czymś* naprawdę i dlatego postanowiłem obrać zawód budowniczego. To już jest praca wyższa, umysłowa, i nie każdy jest do niej zdolny. Daje też większe znaczenie temu, kto ją spełniać może. Prawda, że będę musiał przetrwać ciężki termin: włożyć bluzę i czapkę, usługiwać czeladnikom, którzy mi będą jako „chłopcu” rozkazywali — ale to się przecie skończy. Wyobrażę sobie na czas pewien, że wszyscy odgrywamy komedię i basta! A potem pójdę sobie swoją drogą, wstąpię do akademii i otrzymam stopień architekta. To już coś znaczy, znaczy nawet bardzo wiele. Z czasem mogę zostać i wielmożnym panem... Wszyscy się do mnie zwracają o plany, powierzają roboty, a ja nimi kieruję, rysuję, buduję i tak dalej do końca życia. To nazywam być *czymś* na świecie.

— A ja to nazywam: być niczym — rzekł czwarty. — Cóż w twojej pracy jest twego własnego? Nauczono cię w szkole zasad, które potem stosujesz znowu podług przepisanych wskazówek, reguł i zwyczaju. Mnie by to nie wystarczało. Ja chcę sam z siebie tworzyć, czy rozumiesz? Stworzyć coś, czego dotąd nie ma jeszcze. Stworzyć nowy sposób budowania domów, nowe kształty, przepisy, ściśle zastosowane do klimatu i innych warunków miejscowych, do materiału, jaki mam pod ręką, do wzrastających wciąż wymagań ludzi. To będzie moje dzieło, będzie *coś* naprawdę, czego nie było dotąd. A ja będę twórcą!

— Oby tylko szczęśliwym — zauważył piąty brat z niedowierzaniem — oby cię nie zawiodły nowe materiały i wymagania ludzi, które wzrastają co dzień i co dzień się zmieniają. Widzę, że wszyscy czterej ludzicie się i żaden z was nie będzie niczym. Ale róbcie, jak chcecie. Uprzedzam was tylko, że ja inną obrałem drogę. Takich, co śpieszą do pracy, jest wielu. Każdemu pilno zająć ręce albo umysł i już sobie wyobraża, że jest twórcą i o nic więcej nie dba, nic nie pragnie poznać, zgłębić, zrozumieć, ocenić. Otóż ja przede wszystkim chcę wszystko zrozumieć, poznać, ocenić, skrytykować, wskazać, co w tym

Pozycja społeczna, Praca

Pogarda

Pogarda, Wyrzuty sumienia

jest szkodliwego i niewłaściwego. I myślę, że to właśnie jest najważniejsze na świecie i dlatego ja jeden *czymś* będę między wami.

Każdy z braci postąpił, jak sobie zamierzał, lecz piąty przede wszystkim zwracał na siebie uwagę. — Mądra głowa! — mówiono o nim. — Temu coś przeznaczono i może zejść daleko. Szkoda tylko, że nic nie robi.

Ale właśnie z tego powodu uważano go za coś lepszego.

Historia to zwyczajna, dawna, jak świat stary i końca nie ma, póki świat istnieje.

Lecz posłuchajmy dalej. Wszak to bajka.

Brat najstarszy, który zajął się wyrobem cegły, zrozumiał w krótkim czasie, iż każda prostokątna, różowa cegielka daje mu grosz zarobku. Mały, miedziany grosik. Ale z wielu groszy powstawał srebrny talar — piękny, duży talar. Ten miał szczególną własność: kto nim zapukał do drzwi piekarza, rzeźnika, krawca — wszystkie otwierały się przed nim gościnnie, wszędzie witały go twarze uprzejme, każdy spełniał z ochotą żądanie czy prośbę szczęśliwego posiadacza tego talizmanu. A źródłem tej pomyślności były skromne cegły. Niektóre wprawdzie kruszyły się czasem, ale i takie można było spożytkować.

Uboga wdowa Małgorzata chciała zbudować sobie chatkę na wysokiej tamie, zabezpieczającej wybrzeże od morza i jego niszczącej potęgi. Poczciwy ceglarz dopomógł jej w tym przedsięwzięciu i podarował wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał dobre serce, choć prostym był człowiekiem. Biedna kobieta prawie własnymi rękami budowała swą chatkę, która też nie odznaczała się pięknnością; mała, ciasna, niezgrabna, okna miała trochę krzywe, drzwi za niskie, dach lichy, słomiany, niezbyt mocny i niezbyt prosty, ale zawsze była to chata jej własna, jakie takie schronienie przed słońcem i burzą, a widok z niej na morze był wspaniały. Słone fale rozbijały się z szumem o tamę, a kiedy wicher zawył i niósł na wybrzeże wielkie, spienione, ryczące bałwany, padały one czołem u stóp ubogiego domku, niby pokonane, a wściekle olbrzymy, opryskując białą pianą jego ściany, a niekiedy przerzucając ją przez niską strzechę.

I długo, długo stał domek ubogi, patrząc z wysokiej grobli na morze rozległe, stał jeszcze wtedy, gdy kości człowieka, który nań cegłę wyrabiał, dawno pokryła ziemia.

Brat drugi został murarzem i dobrze mu się wiodło, gdyż pracował i uczył się wytrwale. Zostawszy czeladnikiem, wziął mały tłumoczek na plecy i z piosenką na ustach wyruszył na zwykłą po świecie wędrówkę. Szedł i śpiewał o swoich zamiarach, pełen wiary w swe siły, pełen zapału młodości i najlepszej otuchy.

Nie zawiodło go życie: został wreszcie majstrem i budował domy w rodzinnym miasteczku. Co to za przyjemność i zadowolenie! Budował je też starannie, uczciwie, z zamiłowaniem; budował tak dobrze, że wszyscy go używali i potrzebowali, że mu powierzano najlepsze roboty. Toteż po wielu latach z jego domów powstała nowa i piękna ulica, ozdoba miasta. A wówczas wszystkie owe kamienice złożyły się na własny domek pana majstra.

— Jakże to mogły zrobić kamienice? — zapytacie. — Ha, zrobiły, — wiedziano o tym w całym mieście. Ulica majstrowi zbudowała domek.

Nie był on zresztą wielki ani okazały, ot, taki sobie, skromny, z glinianą podłogą, ale wygodny, czysty. A gdy wprowadził młodą żonę do dużego, jasnym słońcem oświetlonego pokoju, zajaśniała gliniana podłoga jak lustro, zaślniły białe ściany, jakby wróżka szczęścia przybrała je w tęczowe wieńce z świeżych kwiatów, rozpromieniło się wszystko dokoła jak w zaklętym pałacu. Bo szczęście zamieszkało w sercach młodej pary i gościło w nich stale. A szacunek otaczał pana majstra; czeladnicy pozdrawiali go uprzejmie i spoglądali z dumą i uszanowaniem na cechową chorągiew, która powiewała ze szczytu jego domu.

Tak, czuł brat drugi, że jest *czymś* na świecie. Ale że był człowiekiem, więc się zestarzał i umarł.

Trzeci brat, jak powiedział, obrał zawód budowniczego. Wprawdzie i on musiał przebyć ciężki termin, ale po ukończeniu akademii został od razu panem budowniczym, wielmożnym panem. Bardzo był dumny z tego i zadowolony. Brat jego w rodzinnym mieście wybudował całą ulicę, ale on dał jej nazwę od swego imienia, bo jego dziełem były wszystkie plany tych pięknych, nowych domów i współobywatele chcieli uczcić jego zasługę. Łatwo się też domyślić, że dom najpiękniejszy na tej ulicy był jego własnością, że dzieci jego nazywano paniętami, a żonę — wielmożną panią. Więc zdobył coś na świecie i coś znaczył — imię jego na wieczne czasy zostało wypisane na rogu ulicy i do dziś dnia żyje

Dobro, Dom

Dom

Dom

w ustach mieszkańców miasta. Żyje dłużej od niego i żyć będzie, Bóg wie jak długo. Toteż powiedział sobie, umierając: — Byłem *czymś* na tym świecie!

A czwarty brat, ów twórca? Ten miał zająć najwyżej, ale na wysokościach łatwo o nie-szczęście — niestety, wkrótce się o tym przekonał i zmarł przedwcześnie. Wyprawiono mu jednak wspaniały pogrzeb z chorągwiami, z muzyką i kwiatami, wypowiedziano aż trzy długie mowy nad jego grobem, w których wychwalano talent i wielkie zamiary zmarłego i postawiono mu na grobie pomnik. Zawsze i to coś znaczy.

Piąty brat przeżył wszystkich. I słusznie, bo on przecież miał sędzić o nich, jak sądził wszystko na tym świecie i wypowiadał zawsze wyrok ostateczny. Ludzie podziwiali jego rozum i krytykę i mówili o nim:

— To otwarta głowa!

Lecz i on umarł w końcu — nie mogło być inaczej — i stanął u drzwi raju, do którego dusze ludzkie zbliżają się w porządku, parami. Obok niego stanęła jakaś pokorna duszyczka i nieśmiało, a z tęsknotą spoglądała na wspaniałe, złociste wrota.

— Postawiono ją przy mnie, widać dla kontrastu — szepnął do siebie krytyk — i to mi się należy: cała wartość moja lepiej się uwydatnia obok takiej lichoty. — Któż to jesteście, moja kobiecino? — zwrócił się do sąsiadki. — Widzę, że bardzo wam spieszą do raju? Ale poczekać trzeba.

Duszyczka skłoniła się przed nim do ziemi myśląc, że to sam święty Piotr do niej przemawia.

— Ja jestem stara Małgorzata z grobli, jaśnie wielmożny panie — odrzekła z pokorą. — Z małej chatki na grobli.

— Aha. I cóżś robiła na ziemi, stara Małgorzato z chatki na grobli? — rzekł krytyk, którego już nudziło długie oczekiwanie.

Staruszka popatrzyła nań z wielką pokorą.

— Nic takiego nie zrobiłam — rzekła smutnie — za co bym się mogła spodziewać, że przede mną te drzwi otworzą, ale Bóg miłosierny, może łaska Jego nie odepchnie ubogiej. Na to tylko liczę.

— A w jakiż sposób rozstałaś się z ziemią, moja kobieto? — pytał znów brat piąty, który lubił rzecz każdą zbadać aż do gruntu.

— Czy ja wiem, w jaki sposób się rozstałam — odpowiedziała stara po namyśle. — W ostatnich czasach chora byłam ciągle... a nędza, jaśnie panie? To wszystko człowieka dobija. Ciężko mi było już podnieść się z łóżka i kiedy przyszło nagle wybiec na chłodne powietrze, na śnieg i mróz, musiałam się pewno zaziębić, choć sama nie wiem, kiedy, bo nie miałam czasu pomyśleć o tym wszystkim. Tyle trwogi użyłam w ostatniej godzinie — ale Bóg łaskaw, łaskaw, wszyscy się uratowali!

— Kto? Cóż to było za zdarzenie?

— Na morzu, jaśnie panie. Myślałam, że pan o tym słyszał. Wiadomo, że mieliśmy ostrą zimę tego roku, morze u brzegu zamarzło wybornie i państwo z miasta umyśliło sobie urządzić na lodzie zabawę. Mówiono, że ma być ślizgawka i tańce, z daleka słychać było muzykę i wrzawę, słyszałam je w mojej ubogiej izdebce, chociaż nie miałam siły podnieść się z posłania, aby popatrzeć na nich. Na koniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady, bez blasku. Wyrzałam przez okno: na lodzie zapalono kolorowe światła, migwały cienie, słyszałam śmiech ludzki. Wtem spojrzałam na niebo... Daleko, daleko, gdzie się brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Nie zaraz uwierzyłam swoim oczom, jaśnie panie, choć stara jestem i nie darmo przecież od lat tyłu patrzałam na niebo i morze, ale obłoczek płynął, coraz większy, a czarna plama... Znam ją! Zrozumiałam wszystko! Dwa razy w życiu widziałam ją przecież i wiem, co niesie — burzę i rozbicie, śmierć dla tych, co się tam bawią wesoło.

A na lodzie całe miasto: starzy, młodzi, dzieci, panie i panowie, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka. Jak ich ostrzec? Tam nic nie widać — zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdybym silna była, gdybym mogła tam pobiec... Lecz nogi ciężkie, jak gdyby z ołowiu, ręce mi się trzęsą... Otwieram okno z największym wysiłkiem, chcę krzyknąć — ale wrzawa mnie zagłusza, słyszę śpiew, krzyki radości, wesela, świst chorągiewek, widzę migotanie światel — a biały obłok płynie coraz większy i czarna plama... Już zajął pół nieba.

Śmierć

Śmierć

Poświęcenie

Burza, Śmierć, Zabawa

Krzyknęłam z całej mocy — nikt nie słyszy — za daleko! Co począć? Czyż mam patrzeć na ich zgubę? Boże, mój Boże! Każda chwila droga, każda chwila im grozi!

Wtem Bóg miłosierny zesłał mi myśl szczęśliwą: podpalę chatę, niech im znakiem będzie i głosem przestrogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tylu ludzi?

Nie miałam zresztą czasu do namysłu. Rzuciłam spieszenie ogień na posłanie i chciałam wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadłam na ziemię i już nie mogłam powstać. Niby przez sen widziałam ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, w drzwiach nade mną. Aż nagle z nad morza krzyk się rozległ potężny, wszyscy w mgnieniu oka porzucili zabawę, by śpieszyć na pomoc biednej staruszce, która się spalić mogła. Dobrzy, poczciwi ludzie. Bóg ich ocalił za to, bo kiedy w jednej chwili zaszumiało morze, łódz skruszony pękł z trzaskiem, podobnym do strzałów, niebo i ziemia zmieszały się razem w ciemność i burzę — nikogo już nie było tam na wodzie. I nikt nie zginął — wszyscy ocalili. — Bóg ich ocalił. Dobrzy, poczciwi ludzie!

Ale już potem nie wiem, co się stało; pewno mnie ratowali, a ja się tymczasem obudziłam już tutaj, przed wrotami raj. Mówią, że czasem i dla biednych ludzi Bóg je otwiera, może się zmiłuje nade mną. Bo gdzieżbym się schroniła? Nawet chatki na grobli już tam na ziemi nie mam.

W tej samej chwili zgrzytnął w zamku klucz niebieski, szeroko otworzyły się wrota złociste, a święty Piotr i aniołowie wprowadzili staruszkę do raj. Gdy próg przestępowała, z ubogiej odzieży spadła na ziemię jedna mała słomka... słomka z pościeli, którą podpałała, aby bliźnim życie ocalić. I oto patrzcie: złociste ździebelko wyrasta w górę, okrywa się liściem i kwiatem szczerozłotym, a żyjącym, świeżym i rośnie, rośnie...

— To skarby, które z ziemi przyniosła staruszka — rzeki anioł, zwracając się do piątego brata i ukazując krzak róży złocistej — to jej czyny, zasługi. Gdzież są twoje? Nic nie zrobiłeś przez całe życie dla nikogo, ani jednej cegiełki. Jakże możesz żądać nagrody? Wiem, że chociaż byś wrócił na świat i pracował, niewiele by twoja praca warta była, ale przy dobrych chęciach można by ją za coś policzyć — wrócić jednak nie możesz...

Staruszka z chatki na tamie słuchała, stojąc na progu raj, a teraz odezwała się z prośbą nieśmiałą:

— Święty panie aniele, brat tego człowieka podarował mi wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał bardzo dobre serce. Było to dla mnie wielkim dobrodziejstwem, bo z czego bym wystawiła sobie chatkę? Czyżby nie można dziś tych wszystkich cegieł policzyć choć za jedną na dobro tej duszy? Wszakże tutaj jest źródło wszelkich łask i miłosierdzia, a oto dusza, która tego potrzebuje.

Anioł łagodnie spojrział na staruszkę.

— Dobrze — rzekł po namyśle — twojej prośbie Pan Bóg dzisiaj nie odmówi, to pierwsza prośba twoja, niechże więc tak będzie. Dla dobrego uczynku brata twego, którego uważałeś za najłuchszego tu na ziemi i na prośbę tej oto ubogiej kobiety Pan Bóg cię od wrót raj nie odrzuci. Możesz pozostać tutaj i rozmyślać, jakby naprawić swoje ziemskie życie. Dalej jednak pójść nie możesz dopóki nie spełnisz czegoś, co by dobrym czynem życia twego nazwać.

— Mógłbym to lepiej wyrazić — pomyślał sobie krytyk, ale nic nie powiedział, a to jego milczenie już coś znaczyło na drodze poprawy.

Ogień

Śmierć bohaterska

Zaświaty

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/cos>

Tekst opracowany na podstawie: Hans Christian Andersen, Baśnie, tłum. Cecylia Niewiadomska, wyd. 7, Gebethner i Wolff, Kraków 1925

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: kevin dooley@Flickr, CC BY 2.0